

Anna Helena Kubiak



KONESERZY

Koneserzy

Copyright 2016 Anna Helena Kubiak

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

Koneserzy

Z notatnika znalezionej na strychu (1999)

To ma być moja terapia. Wierzę, że słowo pisane ma większą moc niż pomyślane czy wypowiedziane, dlatego będę pisał. Sprawy zaszły już za daleko. Zacząłem nawet rozważać możliwość wizyty u psychiatry. Mój lekarz, a zarazem wieloletni przyjaciel, już dawno sugerował mi takie rozwiązanie, najpierw delikatnie, krążąc nieśmiało wokół tematu, potem bardziej bezpośrednio i stanowczo, aż w końcu wręczył mi skierowanie i polecił dobrego specjalistę. A przecież znał zaledwie ułamek prawdy, wierzchołek góry lodowej. Gdyby wiedział więcej, wpakowałby mnie w kaftan bezpieczeństwa, a nie liczył na to, że pójdę do obcego faceta i zacznę mu się zwierzać ze swoich najskrytszych myśli. Wolne żarty, ja miałbym obdarzyć kogoś takim zaufaniem? Oczywiście, jeśli ta notatnikowa terapia nie zadziała, zapewne wyląduję w końcu w odpowiedniej placówce pod odpowiednią opieką i z przydziałem właściwych leków. To chyba głównie ta wizja sprawiła, że podjąłem ten desperacki krok: podniosłem rękawicę rzuconą mi przez własną psychikę. Postanowiłem stanąć twarzą w twarz ze swoimi lękami i powiedzieć im stanowcze "Nie! Dziękuję, wystarczy!".

Zdaję sobie sprawę z tego, że każdy ma jakieś lęki, że strach jest czymś naturalnym i potrzebnym, ale to, co siedzi w mojej głowie, nie jest ani naturalne, ani potrzebne, uniemożliwia mi normalne życie, ogranicza. Strach jak nienasycony rekin towarzyszy mi bezustannie, unosi się tuż pod powierzchnią codzienności i nigdy nie opada na samo dno.

Prawda jest taka, że latami pielęgnowałem swoje fobie, aby doprowadzić je na szczyty doskonałości. Nieświadomie? Oczywiście. Tak jak, pozbawiwszy się świadomej woli pierwszą dawką narkotyku,

sięga się po następną.

W dodatku, gdzie tylko spojrzeć, mamią nas kapłani lęku, akwizytorzy tego chodliwego towaru. Jak ja ich nienawidzę!

Jednak czara się w końcu przelała. Siedziałem skulony na werandzie i z przerażeniem spoglądałem na rozgwieżdżone niebo.

Dlaczego z przerażeniem? A wiecie, ile tam lata asteroid, komet i innego świństwa gotowego uderzyć w naszą planetę? A o rozbłyskach gamma słyszeliście? Jeśli coś takiego w nas trafi, życie na Ziemi przejdzie do historii. Nawet nasze pocziwe Słońce może zgotować nam w jednej chwili burzę magnetyczną, która uderzy w najczulsze punkty naszej cywilizacji – energię i informację. Pamiętajcie, co się stało parę lat temu w Quebecu? To może się powtórzyć, i to na znacznie większą skalę.

Siedziałem tak i się bałem. Nie tylko promieni gamma, ale też wojny nuklearnej, terrorystów, włamywaczy, chorób, bezrobocia... wszystkiego, co mogła mi zgotować przyszłość. Strach narastał jak balon uwięziony w mojej czaszce, czułem, że niewiele brakuje, żeby rozsadził mi głowę. I wtedy gdzieś z głębi podświadomości nadleciało wołanie o ratunek, krzyk człowieka pogrążającego się w otchłani i wiedziałem, że tylko ja mogę mu pomóc, to znaczy sobie. Tylko ja sam mogę wyciągnąć siebie z tej matni. Zrozumiałem, że jeśli chcę zostać przy zdrowych zmysłach, muszę przestać się bać.

Postanowiłem rozprawić się ze swoimi fobiami bez żadnej taryfy ulgowej, bez litości, raz na zawsze.

Natychmiast poczułem wzbierającą falę niepokoju. Odstawić fobie? Były ze mną od zawsze, były moją tarczą i wymówką, były schronieniem, którego potrzebowałem i nienawidziłem równocześnie.

Wiedziałem, że nie będzie łatwo, ale znalazłem notatnik i rozpocząłem tę amatorską terapię.

Wyrwałem kilka kartek – miały stać się ucieleśnieniem moich prześladowców, żebym mógł na własne oczy zobaczyć ich fizyczną zagładę.

Tyle tego, że nie wiadomo od czego zacząć.

Niech będzie pierwsze z brzegu: choroby. Rzecz jasna, nie było przeziębienie czy niestrawność po obiedzie u ciotki Victorii. Bałem się tych czających się w organizmie podstępnych schorzeń, które wyskakiwały jak diabeł z pudełka i zabijały w ciągu kilku miesięcy. Dlatego nigdy nie lekceważę żadnych objawów. Mój lekarz potwierdziłby to na piśmie i podpisał się wszystkimi swoimi długopisami, a ma ich pokaźną kolekcję.

Wpisałem choroby na pierwszej kartce.

Od teraz będę się uważał za zdrowego, dopóki nie udowodnią mi, że jest inaczej – postanowiłem. Spróbowałem przyswoić tę myśl i przez jedną straszną chwilę zdawało się, że nie dam rady. Wziąłem głęboki wdech, nie pierwszy dziś i nie ostatni, chyba groziła mi hiperwentylacja.

Zmiałem kartkę i z namaszczeniem ułożyłem w ozdobnej popielniczce. Jakoś poszło.

Na drugiej umieściłem włamanie. Wiem, że większość ludzi mieszkających w domach obawia się złodziei, ale wiem też, że mało kto decyduje się na system alarmowy, którego nie powstydziliby się średniej wielkości bank, i sprawdza go pięć razy przed pójściem spać.

Zgnieciona kartka znalazła się obok poprzedniczki.

Terroryzm. Ostatnio świat stał się dla niego doskonałym teatrem z rozrastającą się, żądną sensacji i dramatu publicznością. Kiedy minął czas wielkich światowych konfliktów i zimnej wojny, a przepowiednie nuklearnego armagedonu straciły na realizmie, terroryzm z powodzeniem wypełnił tę lukę. Przewijające się w mediach obrazy zmasakrowanych ofiar i liczby zabitych robią swoje: w każdym zatłoczonym miejscu widzę eksplodujące bomby. Dlatego między innymi nie jeżdżę metrem i nie latam samolotami. Nie tak dawno nawet spróbowałem się przełamać. Wybraliśmy się z jednym z przyjaciół na wschodnie wybrzeże, kupiliśmy bilety na samolot i... cóż, prawie się udało. Jednak, kiedy zobaczyłem przez okna terminalu wzbijające się w powietrze metalowe puszki o wątych skrzydłach, terroryści okazali się zbędni, spanikowałem. Kolega do ostatniej chwili nie mógł uwierzyć, że nie żartuję. Kiedy przeproszałem go za swoje tchórzostwo, klepnął mnie po ramieniu,

nie kryjąc przy tym rozbawienia. *Tak, życie to ruletka* – stwierdził z udawanym zrozumieniem – *cóż po prostu nie jesteś typem hazardzisty*. Puścił do mnie oko i przeszedł przez bramkę. Nie mogłem wyjść z podziwu dla jego brawury i nie uspokoiłem się, dopóki nie spotkałem go w docelowym miejscu. To już historia oczywiście, następnym razem na pewno polecę, słowo!

Co jeszcze?

A tak, zanieczyszczenie środowiska. Odczuwam je boleśnie na własnej skórze, wiecznie kicham i dostaję różnorodnych wysypek. Nie jestem w tym odosobniony, żyjemy w epoce alergików, nasze organizmy nie są w stanie nadążyć za zmianami środowiska, które im serwujemy. Zасыpujemy świat wymyślnymi związkami chemicznymi, modyfikujemy geny, zaburzamy równowagę biologiczną. Nasza bez troska jest porażająca. Jednak muszę przyznać, że spodziewanie się skutków ubocznych po każdym posiłku czy spacerze jest daleko posuniętą przesadą. Od dziś definitywnie z tym kończę.

Nie oznacza to bynajmniej mojego przyzwolenia na ten chory stan rzeczy. Co to to nie.

Jestem znany z surowych wyroków za nieprzestrzeganie przepisów o ochronie środowiska oraz z bardzo szczegółowej wiedzy w tym zakresie. Jestem obecnie jednym z bardziej cenionych sędziów w kraju. Wkładam w swoją pracę naprawdę dużo czasu i serca. Choć nie dlatego że to moja wymarzona kariera. Już prawie o tym zapomniałem, ale w młodości chciałem zostać malarzem albo perkusistą. Śmieszne? Może i śmieszne, ale tak to wygląda. Na prawo poszedłem, bo bałem się bezrobocia. Rodzice nie podejrzewali, jakie kierowały mną pobudki, cieszyli się i byli bardzo dumni, gdy rozpocząłem karierę i piąłem się w górę, zostawiając daleko za sobą kolegów z roku. Po paru latach nieustannych zachwytów ich zainteresowania przeniosły się niestety na grunt prywatny i zaczęli domagać się ode mnie założenia rodziny. Ode mnie! Miałem dodać kolejne osoby, o które się będę martwił? Mam już rodziców, siostrę i całą jej rodzinę. Doszłyby mi żona i, co gorsza, dzieci! Ich wychowanie, zdrowie, przyszłość. Ciarki przechodzą mnie na samą myśl... No, ale wróćmy do tematu.

Zostały mi jeszcze kataklizmy. Trzęsienia ziemi, tornada, susze

i powodzie. Ołówek aż pisnął. Nie mieszkam w okolicy specjalnie narażonej na jakiegokolwiek żywiołowe klęski, nigdy żadnej nie doświadczyłem. Chyba po prostu naoglądałem się za dużo filmów.

W pewnym momencie zdałem też sobie sprawę z tego, jakimi obfitymi źródłami strachu są zwykle serwisy informacyjne. Od epidemii i terrorystów po zagrożenia, jakie dla mojej przyszłości niesie działalność aktualnej opozycji – do wyboru, do koloru. Wiem oczywiście, skąd się to bierze: to narzędzie, które, utrzymując w społeczeństwie odpowiedni poziom niepokoju, ułatwia rządzącym pracę; to informacyjny parawan, zza którego mogą bezkarnie podwyższać podatki, wprowadzać niepopularne przepisy czy chociażby odwracać uwagę od prawdziwych problemów. Niestety są w tym dobrzy i nawet wiedząc, że mnie wrabiają, poddają się temu jak dziecko.

Zgniotłem bezlitośnie ostatnią kartkę i podpaliłem stos, czując się jak inkwizytor, który wykonał właśnie kawał dobrej roboty.

Miałem nadzieję, że ostatecznie osiągnąłem to, o czym marzyłem przez całe życie: spokój. Teraz, mając 38 lat, byłem gotowy, by uwolnić się od strachu.

Patrzyłem jak papier zamienia się w popiół i czułem prawdziwą ulgę; byłem pewny, że jakość mojego życia zdecydowanie się podniesie; cały czas i energię, które dotąd zabierało mi jałowe zamartwianie się, wykorzystam lepiej, korzystniej i przyjemniej.

Rozsiadłem się wygodnie i ze spokojem, jaki dotąd udawało mi się osiągnąć tylko w trakcie medytacji, popatrzyłem na rozgwieżdżone niebo.

Czy byłem uleczony? Z całą pewnością nie, ale wierzyłem, że jestem w stanie utrzymać moje lęki w ryzach i w końcu poczuć się wolny.

Tak oto narodził się nowy człowiek. Nowy Alexander Green.

Znajomi i współpracownicy od razu zauważyli zmianę. Usiłowali nawet zgadnąć, co uczyniło ze mnie człowieka szczęśliwego. Nie potrafili jednak wyjść poza standardowy romans, wyjątkowo prestiżowy proces i wygrana na loterii. Nie potwierdzałem i nie zaprzeczałem.

Postanowiłem nawet urządzić przyjęcie dla całej mojej rodziny. No właśnie: dla całej jednocześnie. Byłem świeżo upieczonym optymistą, pomyłki na tym etapie były nie do uniknięcia. Sprowadzenie matki i szwagra pod jeden dach było to ryzyko, którego nikt od dawna nie podejmował.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, skąd brała się u mamy ta niechęć. Jak to się mówi: nie traciła córki, tylko zyskiwała syna. Może miała dosyć własnych dzieci? Do Roberta nie można było się przyczepić: był świetnym mężem i ojcem. Uwielbiała całą trójkę wnucząt, a przecież gdyby nie on, te dzieciaki nigdy nie pojawiłyby się na świecie.

Wszyscy byli zde gustowani moim pomysłem uzdrowienia stosunków rodzinnych, ale zacisnęli zęby i przyszli.

Żeby oddać to wiernie i krótko: posiedzieli z zaciśniętymi zębami i wyszli. Miałem nadzieję na coś więcej, ale i tak był to pewien postęp: nie było żadnej awantury, nikt nikogo nie obraził, skończyło się jedynie na wymianie niezbyt życzliwych spojrzeń.

Następny dzień był dla mnie jeszcze bardziej udany: dokupiłem kolejny obraz do mojej kolekcji. Byłem z niej bardzo dumny, rozrastała się szybko i zajmowała już cały hol na piętrze. Co tydzień osobiście przechadzałem się między swoimi skarbami ze specjalną miotłką i usuwałem pajęczyny wyplatane z godną podziwu determinacją przez moich małych współlokatorów. Lubiłem to zajęcie. Odprężało mnie i dawało poczucie, że nie tylko mieszkam w tym domu, ale że jestem tu też potrzebny.

Zawiesiłem nowy nabytek zatytułowany „Granica nieskończoności” na wolnym miejscu i powiodłem wzrokiem po swojej galerii.

Jeden ze znajomych przy każdej okazji namawiał mnie, bym otworzył galerię z prawdziwego zdarzenia, i coraz bardziej ten pomysł mi się podobał. Jego entuzjazm wynikał głównie z nadziei na to, że zlecę mu zaprojektowanie odpowiedniego budynku. I pewnie tak właśnie bym zrobił, gdyby nie wydarzenia, które nastąpiły jakiś czas po rodzinnym zlocie.

Dwa czy trzy dni po spotkaniu zadzwoniła mama. Rozmawiając z nią, patrzyłem na swój najnowszy obraz. Autora pewnie zaboląoby to „swój”, ale tak właśnie czułem. Kupowałem tylko takie dzieła,

o których mogłem powiedzieć, że są moje, nie tylko w znaczeniu, jakie daje prawo własności. Wiem, że namalował je ktoś inny, ale to tylko dlatego że brakuje mi czasu, choć niewykluczone, że też talentu - może kiedyś to zweryfikuję.

Ten, któremu się przyglądałem, zawładnął mną całkowicie od pierwszej chwili. Była to artystyczna wizja kosmosu, jakich spotyka się niemało: ciemne, przenikające się kolory kosmicznej otchłani i rozsiane na niej tysiące gwiazd, mgławic i galaktyk. Cała kompozycja sprawiała wrażenie chaotycznej, jednak w tym chaosie musiała być metoda, bo patrząc, doznawałem przedziwnego uczucia ruchu, jakby coś wciągało mnie w głąb obrazu. Ale jeszcze bardziej niezwykle było pragnienie, które wówczas mnie ogarniało - a właściwie żądza - odkrycia Prawdy, takiej właśnie przez duże „P”. Coś szeptało mi, że to, co widzę, to ostatnie gwiazdy naszego materialnego wszechświata i jeśli wystarczająco się skoncentruję, uda mi się spojrzeć kawałek dalej, wystawić głowę poza normalne możliwości ludzkiego postrzegania. Jak krótkowidz przymrużyłem oczy i przez moment miałem wrażenie, że patrzę z pokładu kosmicznego statku, który za chwilę przekroczy granicę wszechświata. Zamarłem, spodziewając się, że zaraz moim oczom ukaże się nicość lub uśmiechnięte oblicze Boga.

Nagle coś ściągnęło mnie z powrotem do rzeczywistości, obraz stał się znowu zwykłym obrazem, a w słuchawce, którą przyciskałem boleśnie do ucha, szumiała pełna wyczekiwania cisza. Otrząsnąłem się z trudem.

- Przepraszam, co mówiłaś? - spytałem głosem, który sam ledwo rozpoznałem.

- Mówię już od dłuższego czasu. W którym momencie straciłeś wątek?

- No... hm... - odchrząknąłem, nawet nie mogłem sobie przypomnieć, że w ogóle odebrałem telefon.

- Rozumiem, zadzwoniłam nie w porę? Jest ktoś u ciebie? - ucieszyła się.

- Nie, to nie to...

- Nie przeszkadzam, zadzwonię później - powiedziała z denerwującą nutą zadowolenia w głosie.

- Naprawdę jestem sam! - jęknąłem, ale nikt mnie już nie słuchał.

Pozbierałem myśli i oddzwoniłem. Dowiedziałem się, że za kilkanaście dni przyjeżdża z Australii wuj Edgar i w związku z tym wydarzeniem mama zamierza urządzić przyjęcie. Chciała uprzedzić mnie zawczasu, żebym nie zachęcał Karen do przyprowadzenia Roberta. Już mój ostatni wybryk omal nie zachwiał wyegzekwowanym przez mamę rodzinnym porządkiem. Wzruszyłem ramionami - chwilowo zrezygnowałem z batalii na rzecz szwagra - i obiecałem poprawę.

Wiedziałem, że tego dnia czeka mnie jeszcze jedna rozmowa, a raczej występ w roli powiernika mojej siostry. Przygotowałem sobie na tę okoliczność porcję lodów. Wiem, że to niekulturalnie, ale znałem już cały zestaw narzekań z repertuaru Karen; a podejrzewałem, że szykuje się pełne przedstawienie, czyli około półtorej godziny monologu. I nie pomyliłem się.

Zwałem się do łóżka zmęczony, jakbym przerzucił tonę węgla. Całe szczęście właśnie rozpoczął się mój dwutygodniowy urlop i miałem przed sobą mnóstwo czasu na odpoczynek. Muszę też przyznać, że potrzebowałem nieco wytchnienia od codziennej gonitwy, bo moja dopiero co nabyta zdolność pozytywnego myślenia nie miała się ostatnio najlepiej. Gdzieś na horyzoncie zbierały się chmury i miałem zamiar jak najszybciej je rozpedzić.

Mimo zmęczenia nie spałem dobrze. Obudziłem się w środku nocy, pokręciłem się trochę z boku na bok, a kiedy to nie pomogło, wstałem i powędrowałem na drugą stronę domu, gdzie ułożywszy się na kanapie, mogłem podziwiać niebo przez okno w dachu. Dałem się namówić na zamontowanie go mimo przekonania, że pewnego dnia skończę z odłamkami szkła wbitymi w głowę. Szczerze mówiąc, wciąż tak myślałem i postawienie w tym miejscu kanapy było kolejnym zwycięstwem mojego nowego ja.

Zawsze lubiłem obserwować gwiazdy, a odkąd przestałem wypatrywać oznak zbliżającej się zagłady, czerpałem z tego znacznie więcej przyjemności. Przyłożyłem do oczu silną lornetkę i widok stał się jeszcze bardziej oszałamiający. Z czarnego nieba mrugało do mnie

prawdziwe mrowie diamentów. Takie widoki są jednym z uroków mieszkania na słabo zabudowanych przedmieściach, gdzie przy sprzyjających warunkach można nawet oglądać rozlany pas Drogi Mlecznej.

Wpadłem właśnie na pomysł, żeby w budynku galerii zrobić też małe obserwatorium, gdy nagle gwiazdy znikły... przed oczami miałem jedynie czerń. Wstrzymałem podświadomie oddech, a myśli ochoczo wskoczyły na znany tor prowadzący do stacji „strach”. Pochwyciłem je w połowie drogi.

Z ulgą stwierdziłem, że nie oślepiłem. Pokój nie był całkowicie pogrążony w mroku i doskonale widziałem zarysy mebli. Wybiegłem więc przed dom: wszystko było na swoim miejscu, nie wyłączając uśmiechającego się wykrzywionym sierpem księżycy... wszystko poza gwiazdami...

Nie wierzyłem własnym oczom, nie przychodziło mi też do głowy nic, co mogłoby spowodować taką anomalię, złudzenie czy cokolwiek to było, ale przecież nie jestem wszechwiedzący. Na pewno za chwilę zrobi się głośno o tym niesamowitym zjawisku. Włączyłem radio i zacząłem sprawdzać wiadomości. Trafiłem na kilka audycji na żywo, ale nigdzie nie było mowy o znikających gwiazdach. Przedziwne. Nastawiłem stację, która zawsze podawała najświeższe informacje, i skuliłem się z powrotem na swojej obserwacyjnej kanapie.

Otworzyłem oczy dobrze po ósmej. Okazało się, że mimo wszystko zasnąłem.

Teraz nie mogłem już mieć pewności, czy to, co zobaczyłem w nocy, nie było tylko snem. Z serwisów informacyjnych dowiedziałem się o kilku wypadkach, ulewnych deszczach i słabym trzęsieniu ziemi. To wszystko. Nigdzie nie było wzmianki o żadnym meteorologicznym czy astronomicznym fenomenie.

Więc jednak sen. W blasku dnia przyjęcie takiego wyjaśnienia nie okazało się zbyt trudne. Mogłem dalej cieszyć się urlopem.

Już wcześniej uprzedziłem rodzinę i znajomych, że wyjeżdżam na trochę z miasta, co w sensie metafizycznym było prawdą. Nie miałem ochoty nigdzie się ruszać, ale potrzebowałem oderwania się od wszystkiego i wszystkich, przynajmniej na parę dni.

Oddałem się rozkoszy lenistwa. W lodówce spoczywały zapasy jedzenia, na stole kilkanaście książek; coś dla ciała, coś dla ducha.

Tylko raz świat zewnętrzny chciał się o mnie upomnieć. Do moich drzwi zadzwoniła Karen, która najwyraźniej nie uwierzyła w moją wersję z wyjazdem. Ostrożnie wyjrzałem przez szparę między zasłonami. Z wyrazu twarzy siostry można było odczytać przebieg najbliższych godzin. Jej monolog przez telefon to tylko mierna próbka w porównaniu z tym, co potrafiła odegrać na żywo. Wiedziałem, że to ja odgrzebałem sprawę: mama kontra zięć i powinienem ponieść tego konsekwencje... ale nie miałem siły. Udałem, że mnie nie ma.

Zabrałem się do czytania. Książka była dobrze napisana i wciągnęła mnie do świata przygód i cudzych problemów, od których rozwiązywania był autor - nie ja. Prawdziwy balsam na mój przeciążany codziennie umysł!

Pierwszy rozdział połknąłem, nie odrywając wzroku od książki. Przy drugim myśli zaczęły mi gdzieś umykać. Przy trzecim poddałem się. Coś ciągnęło mnie do galerii. Od rana usiłowałem zignorować tę myśl, ale wracała i wracała. Musiałem zobaczyć ten obraz! Pognałem na górę. Z tego pośpiechu potknąłem się na ostatnim schodku i wyciągnąłem jak długi. *Dobrze, że nie spadłem ze schodów* - pocieszyłem się, mając w pamięci zasadę znajdowania plusów w każdej sytuacji.

Wstałem i podszedłem do "Granicy nieskończoności". Stało się to, czego podświadomie się obawiałem, choć nie mam pojęcia, jak takie podejrzenie mogło znaleźć się w mojej głowie. Mój najnowszy nabytek wyglądał inaczej niż wczoraj. Jego tło stało się bardziej rozmyte, a stonowane początkowo gwiazdy jakby ożyły, zdawały się mienić kolorami, wirować, wypływać poza płótno. Gapiłem się na nie, rozpaczliwie starając się znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Czy taka zmiana była możliwa? Hm, właściwie czemu nie? Inne oświetlenie, może malarz posłużył się jakimiś chemicznymi sztuczkami? Mogło tak być, ale nie było. Czuję w trzewiach, że stoi za tym coś innego, mrocznego, złowieszczonego. Rozejrzałem się po galerii. Na ile mogłem ocenić, reszta obrazów nie uległa żadnym zmianom, tylko między ścianą a ramami szarzały wyjątkowo liczne pajęczce arcydzieła. Schwyciłem miotłkę, jakby była magiczną

różdżką, którą przywrócić rzeczywistość do ładu, i wziąłem się za odkurzanie. Po chwili z niedowierzaniem stwierdziłem, że nie wyrządziłem pajęczynie najmniejszej szkody.

- Chcecie mnie przechytryć? - Wiedziałem, że z ciemnych zakamarków łąpią na mnie dziesiątki maleńkich ślepek, i miałem nadzieję, że ich właściciele nie rozumieją, co mówię.

Otworzyłem schowek mojej gosposi, który okazał się prawdziwą zbrojownią zagorzałego przeciwnika wszelkiego nieporządku. Części narzędzi nie podejrzewałbym o to, że mogą posłużyć do sprzątanania. Sięgnąłem po solidnie wyglądającą szczotkę i przyjrzałem się jej ze znanstwem, którym mógłbym konkurować co najwyżej z neandertalczykiem.

Tym razem pajęczyna uległa. Zawsze to jakiś sukces. Skoncentrowałem się na tym zajęciu, unikając spoglądania na zmieniony obraz.

Zanim uporałem się z połową roboty, zadzwonił dzwonek u drzwi. Wspomniałem już, że miałem tylko jedną wizytę z zewnątrz. Ta byłaby drugą, ale nie zakwalifikowałem jej do tej kategorii.

Za drzwiami tkwił młody mężczyzna z paczką w rękach.

- Czy pan Alexander Green? - spytał.

Zamurowało mnie. Czy tak się nazywałem? Za nic nie mogłem sobie przypomnieć. Z trudem opanowałem narastającą panikę.

- Właściwie, nie muszę oddawać tego do rąk własnych. Proszę tylko tu potwierdzić odbiór. - Podsunął mi kartkę i długopis. Machnąłem przypadkową parafkę we wskazanej kratce, chłopak nawet na nią nie zerknął.

- Miłego dnia - powiedział, nagle zniżając głos i wykrzywiając usta w zimnym, sztucznym uśmiechu. Zadrżałem.

Wziąłem z jego rąk pudełko, było lekkie, a na wierzchu widniało odręcznie napisane: Sędzia Alexander Green.

Powędrowałem z powrotem do galerii. Miałem odpowiedni obraz na tę okazję: „Ballada o niedostarczonej paczce” - w nieskończonej ilości kawałków lustra odbijała się beżowa powierzchnia poprzecinana sznurkami i upstrzona pocztowymi znaczkami. Spojrzałem na zamaszty podpis malarza. Kiedyś chyba był inny, ale teraz widniało tam: *A. Green*.

Podchodziłem do kolejnych obrazów, w kącie każdego z nich umieszczone było to samo nazwisko. Otarłem pot z czoła. Kim był ten Green? Czy rzeczywiście był mną? A właściwie: ja byłem nim? W kieszeni znalazłem prawo jazdy, które to potwierdziło, jednak nadal nie byłem przekonany. *Czy to takie ważne?* – pomyślałem w końcu. – *Przecież jestem sobą niezależnie od nazwiska.* Postanowiłem odłożyć ten problem na później, akurat teraz mogłem być zupełnie anonimowym człowiekiem, nie potrzebowałem żadnej etykiety.

Wróciłem myślami do paczki. Zastanawiałem się, czy ją otworzyć, czy nie narażę się na jakieś niebezpieczeństwo, ale zaraz doszedłem do wniosku, że moje pytanie było przejawem paranoi dawnego mnie, zebrałem się więc na odwagę i odwinąłem papier.

W środku znalazłem trzy małe porcelanowe figurki. Przedstawiały zadowolonych z siebie krasnali. Szczęśliwe, pulchne twarzyczki zostały odarte z wszelkich oznak inteligencji. Ich większych braci widuje się czasem w ogródkach, te można byłoby z podobnym efektem umieścić w doniczkach.

Zamknąłem nad nimi wieczko – czynność ta sprawiła mi nieco satysfakcji.

Chciałem zignorować to wszystko i wrócić do lektury, lecz było tego za dużo: nocne gwiazdy, zmieniony obraz, moje nazwisko. Traciłem zmysły? Popadałem w szaleństwo? Starąłem się zachować spokój, ale pomału ześlizgiwałem się po pochylni i wiedziałem, że na jej końcu czai się coś gorszego niż strach przed włamywaczami; coś, czemu mogę nie podołać: podstępny, zachłanny lęk – ojciec wszystkich moich małych, jak teraz widziałem, codziennych leczków. Chciał mnie dorwać, odzyskać kontrolę nad moim życiem, a ja nie mogłem mu na to pozwolić.

Opanowałem się i muszę przyznać, że przyszło mi to łatwiej, niż się spodziewałem, wręcz niepokojąco łatwo.

Zszedłem na dół i skierowałem kroki do kuchni. To był mój azyl, miejsce niemal magiczne: przygotowywanie posiłku odpręża mnie nawet w najbardziej stresowych sytuacjach. Poza tym zaczynałem odczuwać głód.

Gdy wszedłem, usłyszałem dziwny dźwięk dochodzący od strony

lodówki, miałem nadzieję, że nie postanowiła się popsuć akurat teraz. Sięgnąłem do niej, ale drzwi ustąpiły dopiero, kiedy szarpnąłem mocniej. Były zdecydowanie większe niż normalnie, za nimi zaś zamiast obficie zastawionych półek zobaczyłem niewielkie pomieszczenie.

Wszedłem do środka. Z boku znajdowała się tablica z przyciskami, a na wieszaku wisiał mój beżowy płaszcz. Założyłem go i wsunąłem do kieszeni pudełko z krasnoludkami, które wciąż trzymałem w ręku.

Wcisnąłem przycisk z napisem „Naciśnij mnie”, choć przeszło mi przez myśl, że Alicji podróżującej po Krainie Czarów wypełnianie wypisanych na kartkach poleceń nie zawsze wychodziło na dobre. Drzwi się zamknęły, pomieszczenie drgnęło i ruszyło do góry.

Tajemnicza winda mijiała kolejne kondygnacje, aż zatrzymała się na piętrze, które według wyświetlacza nazywało się „Szekcja S”.

Do środka wtoczyły się, zgrzytając, załadowane węglem taczki, a wraz z nimi wszedł umorusany czarnym pyłem mężczyzna. Po plecach ściekały mu strużki potu. Moja obecność najwyraźniej go zaskoczyła. Popatrywał na mnie spod na wpół przymkniętych powiek. Czułem, że mnie ocenia, jakby kalkulował, czy moja obecność w windzie może stanowić dla niego zagrożenie. Z niepokojem zerkał też na taczkę. Zacząłem i ja dyskretnie lustrować jej zawartość, starając się nie dać tego po sobie poznać. Niestety nie udało mi się zachować pokerowej twarzy, kiedy dostrzegłem, że pod węglem jest coś ukryte, a tym bardziej, kiedy rozpoznałem, że to ładunek wybuchowy. Mężczyzna zauważył to i zaczął się nerwowo kręcić, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Jego zachowanie upewniło mnie, że mam przed sobą człowieka niebezpiecznego, który nie chce zostać zdemaskowany, zapewne zamachowca, którego celem jest skrzywdzenie niewinnych ludzi; a najgorsze było to, że brak interwencji uczyni mnie współwinnym przyszłej tragedii. Chciałem coś zrobić, przez moment nawet wierzyłem, że rzeczywiście coś zrobię, coś bohaterskiego, co trafi na czołówki gazet. Nie wiedziałem tylko co. *Może mógłbym go obezwładnić* - kombinowałem. Ale nie, na pierwszy rzut oka było widać, że jest silniejszy ode mnie, a efekt zaskoczenia dawno już pogrzebałem. Po chwili stało się dla mnie jasne, że niczego nie zrobię, jak zwykle. Poczuję się podle. *Gdyby był tu chociaż*

alarmowy przycisk, może odważyłbym się go nacisnąć – połudziłem się przez krótką chwilę, wiedziałem jednak, że użycie na oczach mężczyzny takiego przycisku było w moim przypadku równie prawdopodobne jak próba obezwładnienia.

Winda jechała coraz szybciej, aż w końcu rozpędziła się tak, że mijane drzwi zwały się w szarą płaszczyznę, a przeciążenie zaczęło uginać mi kolana.

Zatrzymaliśmy się z mocnym szarpnięciem. Mężczyzna popatrzył mi prosto w oczy. Zamarłem, trudno opisać, jak bardzo w tej chwili żałowałem, że zobaczyłem ten ładunek.

- Ja tutaj wysiadam - oznajmił, wskazując na widoczny teraz na wyświetlaczu napis „Kopalnia”. - Pan pewnie jedzie dalej? - dodał z naciskiem. Przytaknąłem, godząc się ze swoją miernością. - Do zobaczenia - powiedział jeszcze i wysiadł.

Wyjrzałem za nim. Kiedy doszedł do zakrętu, obejrzał się nagle, jakby upewniając się, że nie zamierzam go śledzić. Nie zamierzałem. W tym momencie przyszła mi do głowy zbawienna myśl: uświadomiłem sobie mianowicie, że przecież materiałów wybuchowych używa się w kopalniach do rozsadzania pokładów węgla; facet był z pewnością zwykłym górnikiem. Powtórzyłem to sobie parę razy, zanim zupełnie się uspokoilem.

Mocno trzymałem drzwi windy, czując, że to ostatnia nić łącząca mnie z rzeczywistością. Cofnąłem się i wtedy zauważyłem, że ktoś siedzi na podłodze pod ścianą. Czarne włosy spływały jej na ramiona.

- Przyjechała winda - rzuciłem. - Jedzie pani?

Zapytana wstała i podeszła bliżej, wtedy przekonałem się, że nie była to kobieta, tylko niewysoki, dobrze zbudowany Indianin. Miał łuk i strzały w przewieszanej przez ramię torbie.

- Przepraszam za tę pomyłkę, ale siedział pan akurat w najciemniejszym kącie.

- Nie. To nie był najciemniejszy kąt, w jakim siedziałem - stwierdził, wykrzywiając twarz pod wpływem jakiejś bolesnej myśli. - Może mi pan wierzyć: są tak ciemne kąty, że nie ma już nic, najmniejszej poświaty, tylko mrok, gęsty, lepki, pochłaniający wszystko. - Miał rację.

Winda ruszyła w dół.

- Pan tu mieszka? - zapytał.

- Tak.

- Od dawna?

- Od kilkunastu lat.

- I nie boi się pan jeździć windą?

- Nie - odpowiedziałem stanowczo, choć bałem się jak jasna cholera. Tej windy, jego, i tego, że już nigdy nie wrócę do siebie.

- Ma pan broń?

- No... nie.

- I nie boi się pan?

Potrząsnąłem tylko głową, bo czułem, że drugi raz nie uda mi się zaprzeczyć z taką stanowczością.

- A dzikie zwierzęta?

Tego akurat się nie obawiałem, w tej okolicy nie spotykało się niczego większego od szopa. Już otworzyłem usta, żeby uspokoić rozmówcę, gdy do naszych uszu dobiegł, niepozostawiający złudzeń, głośny ryk.

- Zbliża się - oznajmił.

Stanęliśmy na piętrze. Usłużny napis tym razem radził: „Nie wysiadaj”.

- Dam panu przynajmniej kilka strzał - powiedział Indianin i, ignorując napis, otworzył drzwi. - To bardzo nierozsądne przebywać tu bez żadnej broni. Czasami bywa niezbędna.

Przyjąłem podarunek, chociaż w żaden sposób nie mógł mi pomóc. Chciałem dać mu coś w zamian. Obmacałem kieszenie. Jedyną rzeczą, jaką przy sobie miałem, były porcelanowe figurki. Wręczyłem mu je. Uchylił wieczko i zajrzał do środka. Potem, popatrzawszy na mnie z mieszaniną niesmaku i politowania, skinął głową i wyszedł.

Coraz bardziej pragnąłem znaleźć się w domu, więc z prawdziwą ulgą dostrzegłem na tablicy nowy przycisk „Do siebie” i wcisnąłem go bez chwili wahania.

Po krótkiej jeździe ponownie szarpnęło i winda zatrzymała się między piętrami. Przez górną część okienka widziałem wyższe piętro.

- Mamusiu, zobacz! - usłyszałem dobiegający stamtąd cienki, świdrujący głos kilkuletniej dziewczynki. - Czy to jest zboczeniec?

- Ależ kochanie, nie wolno tak mówić; poza tym nie pokazuje się

palcem.

- A czym?

- Och, wystarczy, jeśli powiesz: mamusiu, tam w windzie siedzi jakiś pan...

- Ale on nie siedzi, tylko stoi. A zresztą to nie jest pan. Sama wczoraj słyszałam, jak mówiłaś do tatusia, że zboczeńcy zatrzymują windy między piętrami.

- Ile razy ci mówiłam, żebyś nie podsłuchiwała? - kobiecy głos zawierał stosunkowo niewiele emocji, było w nim słyhać zmęczenie i słabo skrywane przeświadczenie mówiącej o jałowości powtarzanych w nieskończoność upomnień.

- Ja wcale nie podsłuchiwałam, samo mi się usłyszało!

- Przynajmniej nie powtarzaj rzeczy, których nie rozumiesz.

- Ale ja rozumiem! Ja już wiem, że ci, co zatrzymują windy, to zboczeńcy.

- Nie używaj więcej tego wyrazu.

- Dlaczego?

Matka zajrzała przez okienko mojego tymczasowego więzienia. Miała miłą twarz i była całkiem ładna. Uderzyło mnie to, bo spodziewałem się zobaczyć mocno znerwicowaną kobietę z podkrążonymi oczami, przemęczoną i zaniedbaną. Ja na pewno bym tak wyglądał, a może nawet gorzej. Piskliwy głosik dziewczynki już zaczynał mnie irytować, a jeśli ta nieszczęsna kobieta miała w domu więcej takich... przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu? Jakim cudem matki nie porzucają dzieci, nawet jeśli te stają się nie do zniesienia? Po namyśle zrozumiałem jednak, że gdyby instynkt macierzyński nie był silniejszy od instynktu samozachowawczego, życie dawno skończyłoby w ślepym zaułku.

- Niech pan naciśnie alarm - poradziła kobieta.

- Nie ma tu takiego przycisku - odpowiedziałem, sprawdzając przy okazji, czy przypadkiem się nie pojawił.

- Wie pan co? Pójdę na piechotę, a po drodze zawiadomię dozorcę.

- Dziękuję pani!

- Ciec przyjdzie najwcześniej za trzy dni - oznajmiło dziecko z wyraźną satysfakcją.

- Kochanie, to nie jest ciec, tylko pan dozorca.

- Mamusiu, to kto to jest cieć?

Głosy oddaliły się i nie usłyszałem dalszych wyjaśnień.

Zaczęło robić się zimno i coraz ciemniej. Blask wpadający przez szybę w drzwiach słabł z minuty na minutę, aż w końcu nie widziałem już nic. Moje ciało przenikał coraz dotkliwszy chłód. Obmacałem ściany - były pokryte szronem. Pchnąłem mocniej jedną z nich, ustąpiła. Byłem tak przemarznięty, że nie mogłem utrzymać się na nogach. Upadłem twarzą na znajomą kuchenną podłogę. Wydostałem się w ostatniej chwili; kątem oka zobaczyłem, jak zmaterializowały się półki i zapasy jedzenia. Zemdlałem.

Gdy odzyskałem kontakt ze światem, nie mogłem się poruszyć. Byłem jak sparaliżowany.

Leżałem na podłodze i starałem się pozbierać myśli, które rozlatywały się jak stado wróbli atakowane przez wyjątkowo zaciętego jastrzębia.

Kosztowało mnie to sporo wysiłku, ale w końcu skupiłem się na tyle, żeby zorientować się, że jestem w galerii na piętrze, a dokładniej leżę przy opartym o ścianę obrazie. Było to największe płótno w mojej kolekcji, a jego tytuł „Szpinak na ścianie w samo południe” nie był żadną fanaberią twórcy, rzetelnie oddawał treść: rozgotowane zielone liście spływające powoli ku dołowi obrazu.

Nie miałem pojęcia, jak się tu znalazłem. Nie pamiętałem, żebym wychodził z kuchni. W tej chwili nie byłem nawet pewny, czy w ogóle do niej schodziłem.

Widziałem wiszące na przeciwległej ścianie płótna: „Windę do piekła”, „Indianina na koniu” i kilka reprodukcji. *No tak: winda i Indianin* - pomyślałem z pewną ulgą. Czyli znowu sen, majaki, nic nadzwyczajnego, nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić. Wszystko było w porządku... Nie, nie wszystko, coś się nie zgadzało, i to bardzo, ale w tej chwili nie potrafiłem ustalić co. Na samej granicy mojego pola widzenia był jeszcze jeden obraz: „Dialogi”, przedstawiał grupki dziwnych, kolorowych stworów pochłoniętych rozmowami. Zawsze chciałem posłuchać, o czym tak zawzięcie dyskutują.

Raz jeszcze wróciłem spojrzeniem do reprodukcji moich - do tej pory - ulubionych obrazów Salvadora Dali, po raz pierwszy nie

zachwyciłem się nieokiełznaną wyobraźnią twórcy, w tej chwili widziałem tylko całą ich upiorność. Za nic nie chciałbym się znaleźć w ich pokręconej rzeczywistości, urealnionej i namacalnej jak lodówkowa winda. Zacisnąłem powieki.

Strach ma sens tylko wtedy, kiedy zmusza nas do działania. Nie mogłem pozwolić na to, żeby uniemożliwił mi myślenie, musiałem nad nim zapanować. Wciąż trzymając zamknięte oczy, wykonałem ćwiczenia oddechowe. Długi wdech, zatrzymanie, długi wydech, skupiłem się na powietrzu, które wpływało i wypływało z moich płuc. Lata praktyki pozwoliły mi w miarę szybko osiągnąć jako taki spokój. Spojrzałem ponownie przed siebie.

Niedaleko ode mnie stały dwa kolorowe stwory.

- Nie, nie! Ja jestem w centrum, to, że nie znajduję się na środku obrazu, jeszcze niczego nie dowodzi! Spójrz na moje kolory, przyciągam całą uwagę!

- I uważasz się za dzieło sztuki?

- Oczywiście. Ty też nim jesteś, tło jest równie ważne... uwypukła, naprowadza, a czasem zwodzi, tworzysz kontekst, bez ciebie byłbym nikim.

- Po pierwsze, nie jestem tłem, jestem tylko mniej wyrazisty. Po drugie, nie jesteśmy żadną sztuką, tylko zwykłym obrazkiem, na który lubi się gapić jakiś facet.

- Wisimy w galerii, co chyba o czymś świadczy? To dla ciebie za mało?

- Tak: sztuka to chociażby jakość, a nie czuję się zbyt dobrze zrobiony.

- Jakość? Nie te czasy, kolego!

- Więc chociażby przekaz, oddziaływanie. My nie mamy nic.

- I nie potrzebujemy, nie po tym rozpoznaje się sztukę.

- W takim razie po czym?

- Po cenie. Za sztukę słono się płaci.

- Nawet jeśli będzie to nadrdzewiała puszka z obrzydliwą zawartością?

- Oczywiście, jeśli osiąga na aukcji kilkadziesiąt tysięcy, moim zdaniem jest to sztuka. A za nas też zapłacono kupę kasy.

- Czyli według ciebie równie dobrze moglibyśmy być paskudnymi

puszkami? W takim razie dziękuję...

Poczułem, że robi się coraz cieplej, a gdy dostrzegłem tego przyczynę, zrobiło mi się naprawdę gorąco. Oblazły mnie niezliczone pająki, a do nich dołączały kolejne. Biegały tam i z powrotem, oplatając mnie pajęczynami. Były małe, więc choć dawały z siebie wszystko, praca nie posuwała się w zbyt zawrotnym tempie.

Pająki? – pomyślałem ze zdumieniem. – *Nie meteoryty, nie bandyci, nie jakaś podstępna choroba? Pająki?* Obracałem tę myśl jak jubiler szukający skazy na diamencie. Nie było łatwo, moje myśli były teraz jak wolno przeciekająca łódka żeglująca po leniwych wodach... nie, nie wodach nawet, raczej po gęstej pianie, może melasie. *Nigdy nie pomyślałem o pająkach* – uświadomiłem sobie, żałując, że nie mogę się roześmiać. Życie zakpiło sobie ze wszystkich moich scenariuszy; spróbowałem rozciągnąć usta w choćby minimalnym uśmiechu, bo nawet w obecnym stanie potrafiłem docenić ironię.

Leżałem w niewygodnej pozycji i czułem się idiotycznie, w dodatku piekły mnie ranki po ugryzieniach. Zacząłem zastanawiać się, kiedy ktoś zauważy moje zniknięcie. Pewnie zaczną się niepokoić w środę lub czwartek... Czy będzie już za późno? Spróbowałem obliczyć, jaki jest dzień tygodnia, jednak mój mózg w ogóle nie nadawał się do myślenia. Darowałem sobie i zająłem się obserwacją.

Pająki zabrały się za rekonstrukcję zniszczonych przeze mnie pajęczyn. Zrobiły to szybko i zniknęły, a potem długo nic się nie działo. I kiedy mówię: długo, mam na myśli czas wystarczający, by uznać moją sytuację za nudną.

Musiało minąć parę godzin. Ściemniło się i dopiero wtedy moi prześladowcy zaczęli wyłaniać się zza płócien. Udało mi się wykrzesać skądś resztki nadziei, że nie szykują się do kolacji, na której wystąpię jako danie główne. Rzeczywiście, nie skierowały się w moją stronę. Wyległy na sufit, na ściany, obsiadły nawet antyczną sofę, z której lubię przyglądać się moim obrazom; nie wiem, co robiły, ale gdybym miał strzelać, powiedziałbym, że... kontemplowały sztukę. Robiły to w wielkim skupieniu, chłonąc z obrazów moc zaklętą tam przez artystów – tak mi się wydawało. Od czasu do czasu podbiegały też do

którejś z ram, by poprawić oplatającą ją pajęczynę. Kiedy były stuprocentowo zadowolone ze swojego dzieła, wszystko kompletnie zamarło. Tym razem byłem już dostatecznie znużony, żeby się zdrzemnąć.

Poczułem znajome ukłucie. Otworzyłem oczy. Kontemplacja już się zakończyła i mali miłośnicy malarstwa wracali do swoich domków, norek czy gniazdek; nie mam pojęcia, w czym to świństwo mieszka. Miałem nadzieję, że to koniec atrakcji na dziś, ale wtedy poczułem coś wilgotnego spływającego mi po twarzy; po zapachu poznałem szpinak. Był ciepły i rozmazywał się po włosach i policzku. Wzdrygnąłbym się, ale nie miałem jak. Spłynął też na oczy, praktycznie uniemożliwiając widzenie. Cierpliwie czekałem, kiedy się skończy, co nastąpiło dość szybko - widocznie jego warstwa była cieńsza, niż sugerował artysta - zamrugalem i obraz zaczął się na nowo klarować.

Powoli tuż przed moim nosem wyłoniła się twarz. Przerazenie ścisnęło mi gardło: to była moja twarz: upiorna, wykrzywiona w straszliwym grymasie, zdeformowana. To byłem ja, chociaż nie ten sam... tamten był z jakiegoś innego, koszmarnego, lecz równie realnego wymiaru. Krzyczał. Nie słyszałem dźwięku, ale czułem go całym sobą, czułem, jak wwierca się w najgłębsze strefy mojej jaźni. Jego/moja twarz zajmowała całe pole widzenia i patrzyła na mnie pustymi oczodołami. Zacząłem się zatracać w tym nieistniejącym krzyku i nieistniejącym spojrzeniu, w przerażeniu, które ciągnęło mnie w otchłań szaleństwa. Moje wielkie osiągnięcie, mój spokój okazał się tylko ułudą; zostałem obnażony i wyszydzony. Potwór, którego istnienia nawet się nie domyślałem, wychodził z ukrycia, żeby ratować swój przyczółek, złapać wyslizgującą się mu ofiarę. Znowu stałem na krawędzi i rozpaczliwie szukałem odwagi, odpędzając od siebie pokusę łatwej kapitulacji.

To nie jestem ja - zacząłem powtarzać jak mantrę, patrząc na drugiego siebie - *to nie moja rzeczywistość, to nie mój strach*. Nie wierzyłem w to, ale powtarzałem wbrew sobie, nie dopuszczając żadnej innej myśli, żadnego wahania.

Trochę trwało, zanim moje wysiłki zaczęły przynosić jakiś skutek i kiedy w końcu uwierzyłem, że mogę wygrać, byłem uratowany. Zjawia zaczęła blednąć, stawać się coraz mniej realna, a wraz z nią

mój prawdziwy wróg, strach, którego najtrudniej się pozbyć, który przywarł do mnie jak druga skóra. Wizja wyblakła i wreszcie całkowicie się rozplynęła. Triumfowałem. Chciałem nasycić się tym uczuciem, ale byłem zmęczony jak nigdy dotąd. Zasnąłem twardym, mocnym snem. Tym razem na szczęście obyło się bez żadnych majaków.

Czas płynął w swoim stałym tempie, ale miało się to nijak do mojego subiektywnego odbioru. Tak długo nic się nie działo, że miałem tego wszystkiego naprawdę dosyć. Prawie zacząłem marzyć, żeby mnie zjadły.

Ale dopiero gdy z poprzedniego zdania zniknęło „prawie”, coś się ruszyło. Stado zaczęło maleć, a gryzienie mnie wyraźnie wyszło z mody. Wracała mi jasność myślenia i możliwość ruchu. Kiedy uwolniłem się z kokonu, byłem strasznie spragniony i głodny. Na trzęsących się nogach dowlokłem się do kuchni i drżącą ręką sięgnąłem do lodówki. Pozostała sobą, jedzenie na szczęście też. Po napiciu się i kilku kęsach zleżalego banana, mogłem zająć się innymi sprawami. Złapałem za telefon i zacząłem wystukiwać numer psychiatry, którego polecił mi kolega lekarz. Jednak już po pierwszym sygnale odłożyłem słuchawkę: co niby miałem mu powiedzieć? Oparłem czoło na dłoniach i spróbowałem wymyślić odpowiedź na pytanie, które zapewne by padło: co się stało? Hmm, no właśnie: co?

Wybrałem prostsze rozwiązanie i wezwałem internistę. Obejrzał ranki i przepisał odpowiednią maść.

- Sporo jadu musiało dostać się do organizmu. Nie jest zbyt szkodliwy, ale w dużych ilościach może powodować różne dolegliwości. Nie zauważył pan nic niepokojącego? Ból głowy, osłabienie?

- Nie - powiedziałem bez zająknięcia. W końcu nie zeznawałem pod przysięgą.

- Jakby się pan poczuł gorzej, to proszę dać znać, przyjadę natychmiast.

Było czwartkowe popołudnie. W moim domu nie pozostał już ani jeden pajak - przynajmniej na ile mogłem to stwierdzić. Postanowiłem

ustalić, co się stało z moimi prześladowcami. Obszedłem dookoła dom. W ogródku wypatrzyłem ledwo widoczną, wąziutką ścieżynkę i podążyłem nią. Opuściwszy moją posesję, przecinała park. Dotarłem nią do sąsiedniej ulicy. Dalej kierunek wskazywały mi czarne plamki rozdeptanych pajęczych ciałek. Wreszcie ślad się urwał.

Stałem przed budynkiem, w którym do niedawna był duży samoobsługowy sklep. Teraz neon nad drzwiami głosił: SALON WYSTAWOWY. Do szyby przyczepiony był afisz zapraszający do obejrzenia rzeźby i malarstwa wschodnioeuropejskiego. Wielkie otwarcie miało nastąpić jutro, ale wiedziałem, że pierwsi koneserzy byli już na miejscu.

Pobiegłem do domu i wykonałem parę telefonów. Kogo akurat nie zastałem, miał pecha. Rozdałem wszystkie obrazy. Reprodukcje też. Jedynym warunkiem otrzymania prezentu, był jego natychmiastowy odbiór.

W słuchawce słyszałem:

- Naprawdę? To bardzo miły gest z twojej strony.
- Nie wiem, jak ci dziękować, stary, zawsze ci go zazdrościłem.
- Powiem szczerze, że bardziej przydałyby się nam pieniądze, ale jeśli nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że je sprzedamy... Niech panu Bóg wynagrodzi!

I tym podobne.

Później zrozumiałem, że nie było to konieczne. Chyba odnowię kolekcję. Na początek może kupię jakiś krajobraz albo kwiaty w wazonie.

Zapadł wieczór. Stopień oczyszczenia domu był już zadowalający. Teraz chciałem porozmawiać z kimś na proste, przyziemne tematy. Przypomniałem sobie o wizycie Karen. Moja siostra mnie potrzebowała, a ja potraktowałem ją wyjątkowo paskudnie, postanowiłem to naprawić. Zadzwoiłem do niej.

- Myślę, że najwyższy czas zająć się sprawą Roberta. Jeśli możesz, to wpadnij do mnie, zastanowimy się, co da się zrobić.

- Poważnie? Jesteś kochany! Będę za dwadzieścia minut.

No proszę: w dodatku znowu wyszedłem na porządnego faceta. Czy altruizm nie powinien już dawno zostać oficjalnie zdefiniowany

jako bardziej wyszukana forma egoizmu?

Kiedy na drugi dzień stałem pośrodku salonu patrzącego na mnie prostokątnymi śladami po obrazach, ujrzałem... pająka. Nie uciekał, nie skrywał się. Stał naprzeciwko mnie w wyzywającej pozie i być może mówił do mnie w swym pajęczym języku: *I co teraz zrobisz?*

Patrzyłem mu chyba prosto w oczy. Przeszedł mnie dreszcz na wspomnienie bolesnych ukłuc i wszystkich wydarzeń ostatnich dni. Zaledwie dreszcz. Żaden paniczny strach, żadna groza, właściwie czułem nawet satysfakcję po stoczonych walce. Po bitwie, którą przerwałem, choć samemu trudno mi w to uwierzyć.

I oto stałem niecały metr od pająka i się nie bałem. Niczego. Naprawdę.

Teraz muszę ubrać w słowa swojego ostatniego demona, inaczej pozostanie przyczajony gdzieś w głębi: nienazwany, mistyczny, nietykalny. Muszę wypełnić jeszcze jedną kartkę mojej notatnikowej terapii.

Wypisałem dużymi literami: "BRAK STRACHU" i przez dłuższą chwilę patrzyłem na napis, zanim zmiotłem kartkę... tak, muszę przestać się bać braku strachu - pokręcone, ale prawdziwe. *Od dziś będę pamiętał, że każda chwila jałowego zamartwiania się to chwila zmarnowanego życia - obiecałem sobie.*

Ukryję ten notes na strychu, nie chcę, żeby wpadł w niepowołane ręce. Nie zniszczę go, bo może będę musiał do niego zajrzeć, jeżeli kiedyś znowu zapomnę, że oczekiwanie na najgorsze zamienia życie w niekończący się koszmar.

1999/2016

Po więcej opowiadań oraz początek powieści „Spokojnie, to nie inwazja”
zapraszam do mojej e-szuflady:

<http://ahkubiak.ovh/>